



Mirosław Derecki

## ŚRODOWISKO LUBELSKIE (6). FIRMA „SŁOŃ”

Jako człowiek „bywały” na lubelskich scenach i scenkach, zostałem na początkach 1960 r. przyjęty do grona stałych współpracowników firmy „Słoń”. Tak popularnie nazywano w środowisku aktorskim chałturniczą „inicjatywę prywatną” Tadeusza Prochowskiego, występującą oficjalnie pod hasłem „audycji szkolnych”. Zadaniem owych „audycji” było „krzewienie kultury literackiej i teatralnej wśród młodzieży w głębokim terenie” - jak przynajmniej twierdził nasz pryncypał. Kto patronował temu kulturalnemu przedsięwzięciu, do dzisiaj pozostaje tajemnicą.

Kiedy dołączyłem do ekipy, firma „Słoń” znajdowała się w pełnym rozkwicie, mając od szeregu lat doskonale rozpoznany, opanowany i właściwie „urobiony” teren, wyeliminowawszy skutecznie wszelką konkurencję, która mogłaby w jakimkolwiek stopniu zagrażać istnieniu firmy. Poruszaliśmy się szybko i bezbłędnie po miastach i miasteczkach, wsiach i przysiółkach Lubelszczyzny, wszędzie tam, gdzie istniały szkoły i gdzie tylko zdołała dotrzeć nasza szara „Warszawa” - garbus, wynajęta taksówka, prowadzona niezawodnie ręką pana Tadzia - „Dziesiątki”. Jeździło się w ekipach czteroosobowych: obok kierowcy - Prochowski, przyciśnięty do siedzenia pudłem ogromnej harmonii, z tyłu - piosenkarka albo piosenkarz i recytatorzy. Wyjazdy były jedno, dwu - a czasem nawet trzydniowe, gdy wybieraliśmy się w powiatbiałsko-podlaski albo hrubieszowski, szef płacił za noclegi. Wyżywienie - we własnym zakresie. Dawaliśmy dziennie pięć do sześciu „koncertów”, płatnych po sześćdziesiąt złotych od sztuki „na łeb”, gaża - wypłacana każdego wieczora, w brzęczącej monecie. Co nie jest żadną przenośnią: uczniowie płacili za wstęp 2 złote, więc przywoziliśmy z „objazdu” całe torby bilonu. Następnego dnia bilon ten wymieniałem na banknoty w „zaprzyjaźnionej” mleczarni przy ul. Narutowicza. Dwie miłe panie w białych fartuchach spoglądały zawsze na mnie z mieszaniną zaciekawienia i podejrzliwości; na dziada spod kościoła byłem za młody...

Tadzio Prochowski był postacią tyleż malowniczą, co niecodzienną. Szczupły, o lekko falujących szpakowatych włosach, obdarzony ciepłym, przyjemnym głosem, „miękki” w

obejściu, zawsze ubrany w stalowo-szary garnitur, reprezentował typ „przedwojennego” klezmera-estradowca. Istotnie, na estradzie potrafił prezentować się doskonale, a porywał swoją grą. Nie wiem, czy kiedykolwiek skończył jakąś szkołę muzyczną. Niektórzy twierdzili, że gra tylko ze słuchu. Jeśli tak było istotnie, to „Prochazka” miał rzeczywiście talent fenomenalny. Obdarzony absolutnym słuchem, posiadał również niezwykłą pamięć muzyczną: wystarczyło zanucić jakąś melodię, aby po chwili Tadeusz już ją grał - jak z nut - na swej wspaniałej, trzyczęściowej, wykładanej białą masą perłową włoskiej harmonii. Mieszkał przy ul. Kołłątaja (na parterze, nad lokalem, gdzie dzisiaj znajduje się kwaciarnia) wraz z wiekową Mamusią. Był przez nią trzymany krótko. W wypadkach szczególnych, gdy Tadeusz zbyt długo przeciągał swoje alkoholowe peregrynacje (co w sposób oczywisty odbijało się na akcji „krzewienia kultury” w szkołach), a żadne rodzinne ani koleżeńskie perswazje nie pomagały, Mamusia sprowadzała na pomoc ojców Kapucynów z pobliskiego klasztoru. Zakonnicy skutkowali bezbłędnie. „Prochazka” kajał się, bił w piersi i obiecywał solenną poprawę. Do następnego rana...

Jako młody chłopak trafił do Oświęcimia, przeżył tylko dlatego, że - jak nam opowiadał - przydzielono go do kommanda nazywanego „Kanadą”. Zajmowało się ono sortowaniem bagażu ludzi przywożonych do obozu kolejowymi transportami. W walizkach i pakunkach zawsze znajdowało się trochę jedzenia...

Z obozu wyniósł Tadeusz jedno wielkie pragnienie: być wolnym zawsze i wszędzie! Nie dać się skępować żadnymi nakazami, ograniczeniami i bzdurnymi przepisami. Bliskie takiemu ideałowi wydawało mu się życie artysty estradowego. Człowieka, który nawet sceną własnego teatru nie jest ograniczony. Nauczył się grać na akordeonie, a potem ktoś go zaprotegował do lubelskiego „Artosu”. Miał tam etat akompaniatora, a pozycję artysty-wirtuoza, gdy zaś sytuacja tego wymagała, to i tekścik jakiś humorystyczny palnął ze sceny. W owych latach każdy artysta estradowy robił to, na co go było stać i czego oczekiwała publiczność. A nie - bawił tłą w ceregiele z uprawnieniami, estradowymi specjalizacjami i artystycznymi weryfikacjami. Kiedy zaś nastały takie czasy, że zaczęto ludzi „zaszufladkować”. Prochowski rzucił „Artos” i poszedł „na swoje”.

Istota sukcesów firmy „Słoń” opierała się na wyznawanej przez Prochowskiego starej teatralnej zasadzie, że śmiech to zdrowie oraz pieniądze. Już Szekspir zdawał sobie sprawę, że nie można nużyć widza nadmierną liczbą trupów na scenie i dramatyczne napięcie trzeba przeplatać chwilami beztróskiego humoru. „Prochazka” poszedł dalej: do lejących się z estrady w jego „audycjach szkolnych” potoków mniej lub bardziej wyszukanego humoru, wprowadzał niewielkie krople poważnego nastroju „Dzieci chcą, żeby je brzuchy bolały od śmiechu, a nauczyciele marzą o strawie duchowej wyższego rzędu” - powtarzał niejednokrotnie. „Trzeba jednym i drugim zapewnić radość obcowania ze sztuką. W związku

z czym - dodawał, zwracając się do mnie - powiesz na wstępie „Testament mój” Słowackiego”. Oponowałem, uzasadniając, że na widowni znajdują się akurat dzieci w wieku od siedmiu do dziewięciu lat, więc nic nie rozumieją. Ale Tadeusz przerywał: „Coś tam jednak zapamiętają. O tym sercu spalonym w aloesie, na przykład. Dzieci lubią elementy horroru. I przyda im się na potem. A nauczycielom też się należy jakieś wzruszenie. Nawet dobrze by było. Jak by sobie trochę popłakali. Zresztą, bez dyskusji! Na początek - „lektura”, dopiero potem wygłupy!”.

Na takie dictum nic już nie miałem do powiedzenia. Więc podczas gdy dzieci gromadziły się w sali gimnastycznej albo w miejscowej remizie strażackiej (jeżeli była to duża „zbiorcza” impreza dla kilku szkół), my zabieraliśmy się do układania programu. Program uzależniony był od tego, kto będzie dzisiaj występował i jakim repertuarem dysponuje.

Nie każdy z aktorów mających akurat wolne „okienko” w teatrze - a więc mogący wyjechać na „audycje” - „sprawdzał się”, według kryteriów Tadzia, przed dziecięcą widownią. Na przykład wybladłe „pierwsze naiwne” proponujące monolog Amelii z „Mazepy” czy smutne zawodzenia fragmentów „Beniowskiego” - nie tykając już Boże bronii!, Norwida - traktowane były jako zapchajdziury robiące jedynie „tłumek” na estradzie. Ostatecznie przydawały się jeszcze jako tako na „koncertach” dla klas licealnych, ale takie imprezy dawaliśmy rzadko, opierając się głównie o „podstawówkę”.

Pamiętam, ile było kiedyś kłopotu ze Zbigniewem Czeskim, którego raz wzięliśmy nieopatrznie w objazd, nie sprawdzivszy uprzednio, że zdolny jest on ledwie wydukać: „Płacze pani słowikowa, w gąszczu przy akacji...” i to, w dodatku, myląc kolejność zwrotek. Gdybyś, znał chociaż „Panią Twardowską”!

Najlepiej „szły” wiersze Brzechwy: można było w nich do woli onomatopeizować, krzyżeć, wrzeszczeć, pisać, kwiczeć ku uciesze dzieci i „grona profesorskiego”. Takie na przykład „Dwa koguty kałakuty”, albo „Pali się!” lub dydaktyczny utwór - „O Józiu brudasie”, albo też rzecz o twardym orzechu do zgryzienia, jaki miał pan rejent ze Zwolenia...! Natomiast np. wiersz „Nie pieprz, Pietrze, wieprza pieprzem...” był uznawany we wszystkich szkołach Lubelszczyzny za literaturę dwuznaczną, wręcz niemoralną, i z tego powodu Prochowski już w zarodku tępił wszelkie próby przeszwarcowania go do programu.

Program zaczynał się zatem „lekturą”. Następnie szło kilka „brzechw”, w których celował Marian Drozdowski, oraz wesoła piosenka w wykonaniu Simony Włoch o wróbelkach. (Które jednakowoż mają w swych gniazdkach problemy, bo: gdy „przyjdą dzieci tu z miasteczka, to potłuką nam jajeczka”). Po tym wychodził na estradę Prochowski i grał polkę „Elektryczne schody”. Ale najpierw jeszcze pouczał widzów, że ptaszki należy kochać,

bo jest to element otaczającej nas przyrody, przedstawiciele fauny wyjadający z ziemi robaki i łapiące muszki, które, gdyby się przesadnie rozmnożyły, spowodowałyby zgubę ludzkości...

Po wstępie „Prochazki” wracaliśmy na chwilę do „lektur”. Zwykle tę drugą turę literatury obowiązkowej załatwiał Henio Gońda albo „Chmielario”. Obydwu cechowała prawdziwa kultura sceniczna, „brzechw” się wystrzegali. Tyle, że Andrzej Chmielarczyk zwykł był swój popisowy numer - „Jedzą, piją, lulki palą...!” - zaczynać zbyt dynamicznie. Kiedy wylatywał, jakby wystrzelony z katapulty na scenę, krzycząc „z waszecia” owe: „Jedząą, pijąą...!!!” - dzieci z pierwszych klas chowały się nieraz pod ławki lub zaczynały donośnie płakać. Prochowski w takich momentach był zachwycony: „Patrzenie, jak poprzez sztukę można oddziaływać na widza!”

Program kończyło zazwyczaj wspólne odśpiewanie „Bardzo dobrej rzeczy”. Była to piosenka, w której po każdym wersecie zaśpiewanym przez estradowego „wujka”, następował refrenik: „bardzo dobra rzecz”, powtarzany przez dzieci. Kiedy mali widzowie rozśpiewali się już w tekście, następowało nagle zupełnie nieoczekiwane zakończenie!

- A ja wam teraz frajdę zrobię - figlował na scenie „wujek”.
- Bardzo dobra rzecz - ryczały zachwycone dzieci.
- I za chwilę pójdę sobie..
- Bardzo dobra rzecz!!! - wyła z rozpędu widownia.

Po czym następowała ogólna konsternacja, okrzyki: „nie! nie! jeszcze nie koniec!”, które zagłuszał „wujek Tadzio”, rżnąc na wszystkich stu dwudziestu basach i trzech rzędach w wiolinie gromkiego marsza, sycząc przy tym do „zespołu” przez ramię: „Zbierać się, zbierać! Jeszcze są trzy audycje, jak się spóźnimy, to z ostatniej dzieci nam spłyną do domu!”

Sześć „koncertów” dziennie, przy przerzucaniu się z miejscowości do miejscowości odległych nieraz o kilkadziesiąt kilometrów, granie „na krzyku” w fatalnej akustyce, często w lodowatych remizach strażackich, które stawały się cieplejsze dopiero wówczas, gdy zostały ogrzane oddechami kilkuset dzieci, to był naprawdę morderczy wysiłek. Nie wiem, ile dobra, a ile zła wynikało z naszych imprez (które - trzeba pamiętać - robiliśmy, gdy nie było jeszcze na wsi telewizji), ale pieniędzy nie braliśmy za darmo. Oprócz zarobku ciągnął nas ów głuchy teren, ta młodzież łaknąca czegoś innego od szarzyzny codziennego dnia, cieszyły nas wymięte bukietki kwiatów, które dzieci zbierały już od rana na przyjazd firmy „Słoń”.

Czasami na owych Dzikich Polach ówczesnego życia kulturalnego, gdzieś pod Lubyczą Królewską, Sławatyczami lub Włodawą, mijaliśmy się z samochodem wożącym prywatny teatrzyk lalkowy Magdy W., w którym przez pewien czas zarabiał na życie jako aktor Piotr Szczepanik (nim spłynął na niego piosenkarski sukces), lub napotykaliliśmy wystygłe tropy mikrobusu Filharmonii Lubelskiej, rozwożącej po szkołach skrzypków i wiolonczelistów z mikro-kameralnymi recitalami...

Pewnego razu wracaliśmy pod wieczór z trzydniowego objazdu w Hrubieszowskiem. Jechaliśmy na Zamość i gdzieś między Werbkowicami a Hostynnem zauważyliśmy wielką gromadę ludzi stojących przy szosie. Była też chłopska konna banderia, „banderia rowerowa” z powplatanymi w szprychy kół białymi i czerwonymi taśmami karbowanej bibuły, a także - dwa wasągi umajone zielonymi gałęziami i zaprzężone w wyczyszczone do połysku, najpiękniejsze w całej okolicy, gniadosze. Okazało się, że objeżdżał diecezję biskup Kałwa i tutaj, na granicy parafii, miał przesiąść się ze swego moskwicza na wóz. Gdy samochód biskupa pojawił się w polu widzenia, stary chłop, dowódca banderii, ryknął: „Na koooonń!!!” takim głosem, że stanął mi jak żywy przed oczami cały 2 pułk strzelców konnych z Hrubieszowa pod pułkownikiem Niementowskim, szykujący się do defilady.

Nie to jest jednak najistotniejsze. Otóż Prochowski wyłowił wówczas z tłumu młodą, przystojną dziewczynę, z którą - jak to u niego bywało - błyskawicznie „zapoznał się”. Była nauczycielką, niedawną absolwentką Studium Nauczycielskiego w Lublinie. Mieszkała nie opodal, państwo wynajmowało jej pokój „przy rodzinie”, w drewnianej, krytej strzechą chacie. Dwadzieścia parę lat temu pełno było jeszcze takich chat na Lubelszczyźnie. Tadzio lubił się bawić. Gospodarz przyniósł ze sklepiku dwie butelki wódki, jego żona zrobiła jajecznicę z trzydziestu jaj. Jedliśmy i pili, śpiewaliśmy na głosy razem z gospodarzami, Tadzio Prochowski grał na harmonii, Heniek Dłużyński - na gitarze. A ta dziewczyna cały czas płakała. Na etażerce za jej plecami leżała kupa zeszytów „do poprawienia”, kilka książeczek, jakieś wyświechtane tomiki nic nie mówiącej poezji... Potem zaczęliśmy się żegnać. Bo już zrobiło się bardzo późno, zachodziło słońce za stodołę i trzeba było wracać do Lublina. Kiedy wsiadaliśmy do „Syrenki” Heńka, nauczycielka dalej płakała.

Nieraz, kiedy wspominam lata współpracy z firmą „Słoń”, myślę, również o tej samotnej dziewczynie - nauczycielce. Co się z nią stało? Jak się potoczyło jej życie? Czy pamięta tamten wieczór?

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 8, s. 5.